

# Tybet - wyprawa do źródła

*Migawka*

Ich sposób jest bardzo przebiegły. Przed dotarciem do celu podróży rozklekotanym autobusem, kierowca rozdaje nielicznym „białasom” małe notesy z krótkimi relacjami turystów zaliczających miejscowe atrakcje z pomocą lokalnych przewodników. W ten oto sposób dowiaduję się, co warto zobaczyć w okolicy oraz do kogo mam się zwrócić, gdy już zdecyduję, jak wykorzystam swój czas w tej małej tybetańskiej mieścinie, do której właśnie dotarłem.

Wybieram dwudniową wyprawę konną do źródeł położonych wysoko w górach. Następnego dnia wczesnym rankiem stawiam się w umówionym punkcie. Oprócz mnie są jeszcze cztery dziewczyny: Francuzka (Nicole), Dunka i dwie Hiszpanki, no i nasi tybetańscy przewodnicy w liczbie trzech. Jest zimno i pada deszcz, ale co tam – przed nami tyle atrakcji. Dosiadamy koni i mozolnie wdrapujemy się pod górę. Okoliczne wzgórza przykryte są mgłą, więc niewiele widać, ale co jakiś czas nieznacznie uchyla się rąbek tajemnicy. Góry są zupełnie nagie, porośnięte trawą tworzą rozległe hale. W dolinie widać, że wokół wsi wszystkie grunty są skwapliwie wykorzystane pod uprawy. Zbocza tworzą piętrowe tarasy, wyglądające z góry jak plastry ogromnej układanki. Co jakiś czas z mgły ni stąd ni zowąd wyłaniają się objuczone jakimiś pakunkami jaki. To jedyny tak wytrzymały środek transportu na tej wysokości.



Rezerwat w okolicy Songpan, Chiny. Fot. Ryszard Kulik

Pod wieczór zatrzymujemy się przy niewielkim strumyku. Nasi przewodnicy rozkładają dwa prymitywne namioty, rozpalają ogień i przygotowują kolację. Siedząc przy ogniu i zajadając się pomidorami z cukrem oraz warzywnymi pierożkami, próbujemy integrować się w naszym międzynarodowym towarzystwie. Z Europejczykami nie ma problemu, gorzej z naszymi gospodarzami, z którymi możemy jedynie pomrukiwać i machać rękami. Ale ostatecznie wpadamy na pomysł, by każdy zaśpiewał coś w narodowym języku. Czuję na sobie ciężar odpowiedzialności – w końcu reprezentuję teraz cały naród. Śpiewam „Deszcze niespokojne...” z pewnego nieśmiertelnego serialu i widzę, jakie wrażenie robi na innych ta podniosła pieśń.

Na noc zostaję rozdzielony z moimi towarzyszkami podróży i śpię w męskim namiocie na posłaniu ze skór jaka i końskim siodłem pod głową zamiast poduszki. Nigdy chyba nie zapomnę tej nocy z tybetańskim mocnym pochrapywaniem i dojmującym zapachem końskiego zada.

Następnego dnia nieliczne poranne mgły ustępują szybko przed ostrą brzytwą słonecznego światła i ciepłego powietrza. Ukazujący się błękit nieba jest tak wyraźny, że aż pachnie nieskończonością. Zbieramy się i już po kilkudziesięciu minutach docieramy do rezerwatu przyrody. Wita nas tybetańska rodzina, która pełni tutaj rolę strażnika. Wprawdzie liczne dzieci w obszarpanych ubraniach nie wyglądają na urzędników państwowych, niemniej jednak musimy uiścić stosowną opłatę, by przekroczyć bramę tego sanktuarium.

I rzeczywiście okazuje się, że miejsce jest magiczne. W rozległej dolinie, porośniętej modrzewiami, znajduje się wiele mniejszych i większych oczek wodnych o różnym kolorze wody. Turkus, zieleń, błękit, odcienie granatu i pomarańczowego. To wszystko przez minerały znajdujące się w podłożu, które niczym szalony impresjonista tworzą przedziwnie piękne zestawy, kontrastujące z soczystą zielenią lasu. Mimo że jest to ta sama woda, za każdym razem nawiedzając nowe miejsce przyobleka się w odpowiedni odcień, będący darem samej ziemi. A my zapuszczamy się coraz dalej w górę

doliny, by odkryć to, co daje początek tej wielobarwnej wstędze. Gdy docieramy do źródła, okazuje się ono być wodno-gazowym wywierzyskiem o temperaturze zachęcającej do kąpieli. Niewiele zastanawiając się, wskakuję do tej bulgoczącej kipieli. A za mną czyni to Nicole. Rozbiera się do bielizny i myk do wody. Aż zakręciło mi się w głowie; już sam nie wiem, czy od tych gazowych wyziewów, czy od tego, że gdyby Nicole była zupełnie naga to robiłoby to jednak mniejsze wrażenie niż kiedy paradowała w mokrej bieliźnie. Tym bardziej, że widzę, iż nasza męska część - jakkolwiek tybetańska - podziela moje zakłopotanie.

Dzisiaj, gdy przypominam sobie tę wyprawę, uśmiecham się pod nosem. Natura mieni się różnymi kolorami, ale wypływa z jednego źródła...

Ryszard Kulik